

MAGDALENA MARIA  
KARUZYŃSKA

WIMAR



FOX  
PUBLISHING

H O R R O R







MAGDALENA MARIA  
KALUZYŃSKA



**FOX**  
PUBLISHING

*Zobacz moimi oczami, usłysz, co ja słyszę,  
jesteś piękna, jesteś silna, Matko...*

Wyznanie  
Zapis w Księdze Zgromadzenia

*...cyfra sześć symbolizuje błąd, niedoskonałość.  
Cyfra siedem utożsamia szczęście i bezpieczeństwo.  
Jest idealna, święta, boża.  
W takim razie Kogo albo Czego Liczbą są trzy siódemki,  
skoro już od trzech szóstek zaczyna się  
tak zwana Liczba Bestii?*

Paradoks Siódemek  
Anonim

Inspektor Aleksander Wojciechowski całą noc nie zmrugał oka. Leżał w niezaścielonym łóżku, na kołdrze, w ubraniu, wbijając wzrok w sufit. Około czwartej nad ranem wstał, wziął szybki prysznic, jednak nie miał zamiaru się golić. Wzruszył ramionami na myśl o komentarzach kolegów z pracy: „Stary, wyglądasz jak po ostrej imprezie. Mamy nadzieję, że chociaż panienki były fajne...”.

Zadzwoił telefon komórkowy leżący na nocnej szafce. Mężczyzna sięgnął po niego, odebrał połączenie, nie patrząc wcześniej na wyświetlacz. Przeczynał, czego może dotyczyć rozmowa o tej porze. A przeczucie wynikało z jego zawodowego doświadczenia. Wojciechowski był inspektorem policji w wydziale zabójstw.

Pole, aż po linię horyzontu, było popękane i wyschnięte. Nie rosło tam nic oprócz ogromnego drzewa. Odziany w długą, białą szatę mężczyzna położył podłużne zawiniątko przy podstawie pnia. Cofnął się kilka kroków i zadartł głowę, wodząc wzrokiem po gałęziach. Stał tak bardzo długo, bezgłośnie poruszając ustami. Kiedy przestał, rozległ się grzmot. Chwilę potem zaczął padać deszcz.

Postać w bieli odwróciła się i odeszła.

Gruby, łysawy facet biegł korytarzem. Zatrzymał się dopiero przy ostatnich drzwiach i delikatnie zapukał. Po chwili oczekiwania zapukał mocniej. W korytarzu rozległo się dudnienie. Mężczyzna przyłożył otwartą dłoń do drzwi, jednak zrezygnował z zamiaru uderzenia. Z kieszeni spodni wyciągnął metalowe kółko i podniósł do światła. Nagły ruch ręki rozkołysał przyczepiony do małej obręczy pęk kluczy. Zabrzęczały.

– Który to był... – łysawy mamrotał pod nosem, pot zalewał mu oczy. – Ten! – przekręcił klucz w zamku, szczęknęła zapadka.

– Halo... – nacisnął klamkę, pchnął drzwi. Skrzypnęły przeciągle. – To ja, panno Ewo! – krzyknął w głąb ciemnego przedpokoju i nastawił ucha. – Misiakiewicz!

Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki. Mężczyzna zrobił duży krok, omijając listwę progową. – Głupi przesąd – szepnął. Wyjął klucz z zamka i schował do kieszeni. Włączył światło, rozejrzał się po wnętrzu. Zablokował drzwi wejściowe szafką na buty i wszedł do kuchni. Pomieszczenie wyglądało na dawno nieużywane, panował w nim przesadny porządek. Następny był pokój dzienny, potem łazienka. Nigdzie nie widział żadnych ubrań, gazet, naczyń, kosmetyków... Wszędzie to samo: ani śladu ludzkiej obecności. W końcu Misiakiewicz stanął przed oszklonymi drzwiami sypialni. Sięgnął w kierunku klamki, ale cofnął



rękę. Zapukał w szybę. Nie usłyszał odpowiedzi. Zapukał ponownie, tym razem o wiele mocniej.

Cisza.

Nacisnął klamkę.

– Panno Ewo, to ja... – stanął w progu, przesuając dłoń po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła. Kiedy rozbłysły żarówki kinkietów, jego oczom ukazał się przerażający widok.

– Jezu Chryste – szepnął, robiąc kilka niezdarnych kroków na drżących nogach.

Ewa leżała w plamie krwi w niezaścielonym, ogromnym łóżku. Nie ruszała się. Jej oczy były otwarte, usta zaklejone srebrną, szeroką taśmą, ręce kobiety uniesione, skrępowane sznurkiem w nadgarstkach i przywiązane do szerokiej, ozdobnej ramy mebla. Jej nogi, podciągnięte aż do pośladków, mocno rozchylone, kolanami prawie dotykały przesćieradła.

Misiakiewicz jęknął.

Krew oblepiała nagie ciało kobiety od krocza do stóp. Podłogę między łóżkiem a przeciwległą ścianą pokrywało kilka małych, ciemnych kałuż. Łysawy powiódł spojrzeniem po błyszczących śladach i zamarł. Szeroki czerwony pas pełzył po ścianie do wysokości około dwóch metrów. Urywał się nagle, tuż przed dolną krawędzią powyginanych szerokich ram, które okalały ogromny fragment ściany. Nie było w nich żadnego obrazu ani lustra.

Misiakiewicz z telefonu stojącego w pokoju dziennym wezwał policję.

– Rany boskie! – inspektor Aleksander Wojciechowski stanął w progu sypialni. – Co tu się musiało dziać.

– Masakra, szefie – rosły, młody mężczyzna w białym fartuchu oderwał aparat fotograficzny od twarzy, podszedł do

inspektora i podał mu dłoń na przywitanie. – Pierwszy raz coś takiego widzę.

– No, ja też, Michał, ja też. Gdzie świadek?

– Piętro niżej, w swoim mieszkaniu. Był już przesłuchiwany.

– Zaraz do niego pójde. Pogotowie? – spojrział na łóżko. Ciało dziewczyny przykryte było czarną, nieprzezroczystą folią. Technik wyjął z kieszeni kartkę złożoną na pół.

– Stwierdzili zgon i pojechali.

– A ty co? Pewnie już masz teorię? – policjant wziął dokument.

– Jeszcze nie.

Wojciechowski schował kartkę do kieszeni płaszcza.

– Kim jest świadek?

– Zarządca tej kamienicy, mieszka...

– Piętro niżej, mówiłeś – wtrącił Wojciechowski. – Idę trochę zmiękczyć tego ciecia.

– Gospodarza domu, inspektorze.

– Wracaj do pracy!

– Tak jest! – Michał zasalutował.

– Do pustej głowy się nie salutuje – burknął policjant wychodząc z pokoju.

– Raczej do głowy bez czapki.

Wojciechowski zszedł na dół, do mieszkania świadka, wsunął się do kuchni, usiadł przy stole naprzeciwko wyraźnie zdenerwowanego grubego mężczyzny. Misiakiewicz nie zareagował na obecność policjanta. Usilnie tarł zapałką o draskę.

– Pomogę – funkcjonariusz sięgnął do kieszeni spodni, wyjął swoją zapalniczkę i podał łysawemu. Mężczyzna podpalił papierosa i zaciągnął się głęboko. – Myślałem, że już nie będę przesłuchiwany.

- Ostatni raz.
- W takim razie przepraszam.
- Za co?
- Nakrzyczałem na kobitkę w policyjnej centrali. Chciałem, żebyście jak najszybciej przyjechali.
- Nerwy.
- Może i tak. Do wczoraj myślałem, że już nic mnie nie zdziwi. Proszę mi wierzyć, w tym budynku widziałem wiele.
- Co takiego pan widział?
- Kilkudniowe libacje, gołe baby śmigające po klatce schodowej, ktoś kogoś wypchnął przez okno z siódmego piętra. Mieliśmy też plagę szczurów, grzyba na ścianach całego parteru, pożary zsypu, dzikich lokatorów w piwnicy. Parę razy wyganiałem obrzyganych lumpów z pralni. Pod dziewiątym była kiedyś melina i burdel. Wyliczać dalej?
- Ile lat zarządza pan tą kamienicą?
- Piętnaście.
- Kiedy dziewczyna się sprowadziła?
- Rok temu.
- I do tej pory nic? Żadnych dziwnych odgłosów, podejrzanych typów? Sąsiedzi się nie skarżyli?
- Nic – gospodarz pokręcił głową. – Kobieta bezdzietna, niezamężna, spokojna. Idealny lokator.
- Wierzę – przerwał policjant. – A co się działo wczoraj?
- Misiakiewicz przygryzł dolną wargę.
- Już mówiłem tamtym funkcjonariuszom. Niby stare budownictwo, mury grube, ale akustyka jak w kościele. Wszystko słyhać, szczególnie w nocy albo nad ranem, z tego samego pionu. I właśnie około godziny czwartej coś usłyszałem z mieszkania panny Ewy.
- Co pan usłyszał?
- Grubas sięgnął do popielniczki, ale ręka tak mu drżała, że nie trafił i strzepnął papierosa na blat stołu.

– Kroki i... jakby chlupot. Wyłączyłem telewizor, żeby lepiej słyszeć. Najpierw pomyślałem, że gdzieś woda cieknie albo – nie wiem – rura pękła.

– I co pan zrobił?

– Łaziłem po mieszkaniu, oglądałem sufit, szukałem zacieków, sprawdziłem rury. Chlupot był coraz głośniejszy. No to do niej zadzwoniłem. Kilka razy wykręcałem numer. Nie odpowiadała. Zdenerwowałem się jak diabli, włożyłem spodnie, wziąłem zapasowe klucze do jej mieszkania i poszedłem na górę. Resztę już pan zna.

– Co oprócz martwej dziewczyny zwróciło pana uwagę w tamtym mieszkaniu?

– Głupie ramy.

– Jakie?

Łysawy zdusił niedopałek w popielniczce i od razu wyjął następnego papierosa z paczki.

Inspektor ponownie sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Mężczyzna wypuścił dym nosem.

– Dwa tygodnie temu zadzwoniła do mnie i spytała, czy nie mógłbym pomóc. Zgodziłem się, okazało się, że przyszła do niej przesyłka. Normalnie monstrum. Zajmowała chyba pół przedpokoju. Kupiła mebel, pomyślałem. Regał na książki albo kurzołapa.

– Co?

– No, mebel, który stoi nieużywany i tylko kurz się na nim zbiera. Po rozpakowaniu okazało się, że są to ramy do obrazu. Ale jakieś dziwne. Od razu wiedziałem, że coś z nimi nie tak.

– Niby co miało być z nimi nie tak?

– Nie przyjrzał się pan z bliska? – Łysawy zmarszczył czoło. – Ja wieszałem cholerstwo. Ciężkie to jak diabli, ledwo dałem radę dźwignąć. Poza tym takie brzydkie te ramy... ciemne i krzywe, skrzycone jak wyżęta szmata. Niby do obrazu, ale zupełnie nie jak z drewna, tylko z gumy. No to powiedziałem dziewczynie, że nie wziąłbym paskudztwa, nawet jakby mi ktoś dopłacał.

– Jak zareagowała?

– Nijak. Kiedy już powiesiłem, stanęła przy ścianie, wpatrzone jak w święty obraz. Uśmiechnięta, cały czas się uśmiechała – głos Misiakiewicza zadrżał. – Nawet jak wychodziłem, to się uśmiechała.

– Wtedy widział pan ją po raz ostatni? Dwa tygodnie temu?

– Tak.

– A co pan zrobił potem?

– Coś mnie, że tak powiem, tknęło – łysawy odruchowo strzepnął popiół. Tym razem na kuchenną podłogę. – Dzwoniłem do niej nawet kilka razy dziennie, ale nie odbierała telefonu. Na początku myślałem, że wyjechała. Jednak w nocy słyszałem kroki w jej mieszkaniu, spływającą wodę, a nawet muzykę. Gdyby nie to, wezwałbym policję wcześniej.

– Ktoś ją odwiedzał?

– Chyba nie. Zresztą nie wiem. Przy wprowadzaniu pomagała jej taka pulchna blondynka. Kobita w moim typie. Dupa i cyc jak należy. Później już tej piękności nie widziałem.

– Rozumiem. Będziemy szukać świadka w osobie cycatej blondyny. A co pan robił wczoraj w nocy?

– No, nie spałem.

– Dlaczego?

– Oglądałem pornosy.

– Dobrze?

– Słabe.

Policjant rozejrzał się po kuchni.

– Pan mieszka sam?

– Z żoną – odpowiedział cicho gospodarz domu. – Wyjechała do sanatorium. Jak wróci, to pewnie oberwę.

– Za te pornosy, co?

Grubas wyprostował się w krześle i przekrzywił głowę.

– Wie pan, kobita nie zawsze wszystko kuma. No i się czepia o byle co...

– Nawet jak się udzieli wyczerpującej odpowiedzi na zadane pytanie... – odmruknął Wojciechowski. Pamiętał, że jego byłej żonie również nie pasowały żadne spośród udzielanych odpowiedzi. Doprowadziła do tego, że przestał w ogóle jej odpowiadać.

– Dorobi teorię do wszystkiego... – Misiakiewicz westchnął. – Jeżeli moja stara dowie się, że widziałem sąsiadkę golusienką, to nieważne będzie, że Ewę zamordował, za przeproszeniem, pierdolony sadysta. Że wezwałem policję, że tragedia. Z biegiem czasu widziane przeze mnie cycki trupa przesłonią wszystko.

– Przykro mi w takim razie.

– Nie musi być panu przykro. Chciałem, to mam. House gestapo.

– Mieszkanie będzie pod obserwacją – odezwał się Wojciechowski po chwili milczenia. – Z mojej strony chciałbym prosić, żeby zwrócił pan uwagę, czy ktoś obcy tutaj się nie kręci.

– Oczywiście – wyszeptał konspiracyjnie grubas. – W razie czego będę dzwonił.

Nie wątpię, pomyślał policjant. Pożegnał się zdawkowo i wyszedł. Dopiero przy swoim samochodzie zapalił papierosa.

– Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? – wodził wzrokiem po oknach kamienicy.

Michał Smolik przyjechał do policyjnego prosektorium godzinę po tym, jak ciało Ewy położono w ogromnej sali sekcyjnej. Nocny stróż otworzył mu drzwi i bąknął, że szkoda kroić taką ładną dziewczynę.

– Lepiej umyć, pięknie ubrać, posadzić za stołem i masz idealną koleżankę na długie jesienne wieczory – pracownik kostnicy złapał się za brzuch i roześmiał rubasznie. – A jak

zacznie śmierdzieć czy sinieć, to zawsze można do mnie przyjechać i wymienić laleczkę na nową.

Smolik wzruszył ramionami. Takie teksty już nie robiły na nim wrażenia. Już się nie bulwersował, nie zadawał mnóstwa pytań o etykę zawodową czy też zwykłe ludzkie poczucie przyzwoitości. O ile coś takiego jeszcze istniało. Kiedyś im bardziej oponował, tym bardziej się z niego naśmiewali. Teraz to olewał. Zresztą, człowiek, który cały czas przebywa w towarzystwie zmarłych, popada w zawodową rutynę. A specyficzne poczucie humoru stanowi reakcję obronną psychiki na permanentne obcowanie ze śmiercią. I to przecież jest jak najbardziej normalne. Zboczenie zawodowe. Paradoksalnie, zboczenie normalne.

Teraz chciał dokładnie obejrzeć dziewczynę, zrobić zdjęcia w ostrym świetle, w zbliżeniach. W spokoju i ciszy. Sprawa śmierci Ewy była jego pierwszą poważną, odkąd zaczął pracować w policji jako technik. Skończył medycynę z wyróżnieniem. Teraz robił specjalizację patologa sądowego, co podkreślał z dumą.

– Patolog sądowy – szepnął, zakładając fartuch. – Fajnie.

Wziął aparat fotograficzny i podszedł do stołu, na którym leżała dziewczyna. Zsunął jej płótno z twarzy.

– Ładna jesteś – mamrotał, robiąc zdjęcia. – Jaki to kawał fiuta cię skrzywdził – zsunął cały materiał. – Co nie znaczy, że brzydszej kobiety bym nie żałował. Każdego życia szkoda – dreptał wokół stołu. – No i gadam do siebie... – przerwał, odłożył aparat, założył cienkie gumowe rękawiczki. Ujął rękę dziewczyny w nadgarstku i delikatnie poruszył, próbując unieść do światła.

– Dziwne... Gdzie ty masz obtarcia?

Na przegubach nie było żadnych śladów po zaciśniętym sznurku. Powinny być, ponieważ kiedy znaleziono dziewczynę, teoretycznie znajdowała się w stanie stężenia pośmiertnego. I wychłodzenia. A to znaczy, że leżała związana nawet

kilka godzin. Zwykły szorstki sznurek, którym była skrepowana, powinien przez ten czas zostawić chociaż kilka zaczerwienionych smug na skórze. Powinien zostawić obtarcia.

Nie zostawił.

– Plam opadowych też nie masz... – dotknął skóry denatki. Zaczynał żałować, że całą zakrwawioną pościel od razu odesłał do laboratorium. Przemknęło mu przez głowę, że skoro na ciele zmarłej znalazł takie rewelacje, to co mogły skrywać sklezione krwią fałdy prześcieradła? Albo powłoki na kołdrę? W tamtym pokoju pobrał wszystkie możliwe próbki... po raz pierwszy był w swoim żywiole. Po raz pierwszy sam otworzył srebrną walizkę. Serce biło mu silniej niż kiedykolwiek, ręce drżały, a każda pobrana próbka była według niego na wagę złota. Na analizę trzeba będzie niestety trochę poczekać. I na wysnucie teorii również.

– Może i lepiej, że to nie wygląda jak w hollywoodzkim kryminale – westchnął. – Uroda trupa pasuje. Nic więcej.

Ktoś mu kiedyś powiedział, że są w życiu sprawy, których na siłę nie należy przyspieszać. A teraz właśnie chciał przyspieszyć, żeby od razu wszystko było wiadomo. W jaki sposób dziewczyna zginęła, kto ją zabił, co najważniejsze – dlaczego? Chociaż odpowiedź na to pytanie w praktyce była zbędna. Michał pomyślał, że nie zna i prawdopodobnie nigdy nie pozna odpowiedzi na pytanie o sens śmierci. Pracuje ramię w ramię ze śmiercią, a jej nie rozumie. Zdjął rękawiczki, cisnął do kosza na śmieci, podszedł do okna i wziął z parapetu aparat fotograficzny. Odwrócił się, spojrzął na stół i krzyknął. Aparat wysunął się z dłoni, upadł na podłogę. Michał czuł, jak sztywnieje na całym ciele, a po plecach spływa mu zimny pot.

Naga, teoretycznie martwa dziewczyna już nie leżała na stole. Ona siedziała!

Chłopak chwycił krawędź zlewu obiema dłońmi, żeby nie upaść. Czuł strach ściskający mu gardło. Dziewczyna siedziała na stole. Wyglądała jak manekin, jak wielka, pla-



stikowa lalka, której w groteskowy sposób wygięto ręce za głowę. Poruszyła dłońmi, zgięła palce. Z widocznym trudem, bardzo wolno opuściła ręce. Potem boleśnie jęknęła. Wolno odwróciła głowę twarzą do Michała. Spojrzała na chłopaka i wykrzywiła usta w dziwnym grymasie. Popatrzyła po sobie i znowu jęknęła głucho. Jej krocze, wewnątrz ud i nogi aż po stopy wciąż pokrywała zakrzepła krew.

– O, kurwa mać – technik wydusił te słowa z trudem. Serce waliło mu jak młotem.

Ewa poruszyła nogami, próbowała zejść ze stołu sekcyjnego. Michał krzyknął.

Inspektor Wojciechowski był w swoim biurze, kiedy zadzwonił telefon. Odruchowo spojrzął na zegarek – wskazywał drugą w nocy. Podniósł słuchawkę. Nie rozmawiał długo. Zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło, i wybiegł z pokoju. Chciał jak najszybciej dojechać do prosektorium.

– Nie wchodzimy – zwalisty mężczyzna w czerwonym kombinezonie ratownika medycznego stał w otwartych drzwiach sali sekcyjnej. Wyciągnął rękę w stronę nadbiegającego inspektora. Funkcjonariusz zatrzymał się kilka kroków od wejścia i przez chwilę łapał oddech.

– Cholera, kondycja mi siada.

– Wpuściłbym pana, ale nie chcę, żeby szefowa na mnie krzyczała. Coś dzisiaj w złym humorze – ratownik gadał ponuro. – Zresztą pewnie zaraz wyjdzie.

– Ale co się stało? – policjant zerknął przez ramię sanitariusza. – Mój pracownik jest tutaj. Dzwonił do mnie. I wie pan, to policyjne prosektorium – niczego nie dostrzegł, ponieważ wszystkie metalowe stoły były po prawej stronie od wejścia, za zakrętem. Usłyszał za to strofujący kogoś kobiecy głos.

– Mówiłem... – szepnął ratownik – zła jest. Wpuściłbym pana, wiem, że to policyjna dyskoteka, ale potem będę miał przerąbany miesiąc. To już wolę się policji narazić, niż jej...

Wojciechowski chciał coś powiedzieć, ale w drzwiach pojawiła się lekarka. Podała zwalistemu dużą skórzaną torbę i spojrzała na funkcjonariusza. A raczej zmroziła go wzrokiem.

– Pan kieruje sprawą?

Kiwnął głową.

– W takim razie proszę podrzeć świadectwo zgonu dziewczyny i zająć się łapaniem bandziorów – fuknęła. – Powinam również wylać na zbity pysk lekarza orzekającego.

– To ja powinienem zadać pani kilka pytań – zaczął Wojciechowski.

– A niby dlaczego „powinienem”? – spojrzała w głąb sali. – Wcale nie. Dziewczyna żyje, to najważniejsze.

– Owszem, ale nie wiem, jak to się stało, że ożyła – wycedził policjant przez zęby. – Jak czegoś nie wiem, to pytam.

– Podobno kto pyta, nie błądzi. Sprawa jest prosta jak drut albo konstrukcja cepa. Jeżeli pana interesuje, w jaki sposób dziewczyna ożyła, to najlepiej będzie, jak ją pan sam zapyta. Bo na przykład może ktoś na naszym polu praktykuje voodoo. Ona jest pierwszym okazem eksperymentalnym i na pewno z chęcią udzieli wywiadu do gazety. Dodam jeszcze, że nie chcemy sobie wchodzić w kompetencje. Czy może się mylę?

– Ale...

– Przecież jej nie zjem. Zresztą, to policja chciała ją kroić. Ja zrobię tylko gruntowne badania, doprowadzę ją do formy. Ten młody technik wie, do którego szpitala zabieramy poszkodowaną. Żegnam!

W drzwiach pojawili się pozostali ratownicy. Targali nosze. Obok dreptał mundurowy i unosił kroplówkę. Kobieta ostrożnie przejęła od niego plastikową butelkę, gestem głowy skierowała ekipę na schody. Kiedy mijali inspektora,

ten spojrział na nosze. Ewa była otulona kocem termicznym i miała na twarzy maskę tlenową. Poruszyła głowę. Kierowca bąknął do policjanta zdawkowe słowo pożegnania. Funkcjonariusz wszedł do sali sekcyjnej.

Technik stał przy zlewie i raz po raz ochlapывwał twarz wodą.

– Zachowałem się jak żółtodziób – szepnął.

– Co się stało?

Chłopak przepłukał usta.

– Sam nie wiem. Robiłem jej zdjęcia, a potem ona usiadła i spojrzała na mnie. Chciała zejść ze stołu. Wezwałem karetkę – Wojciechowski nie odzywał się. Michał ponownie ochlapывwał twarz wodą. Oparł dłonie o zlew.

– Na początku myślałem, że mam przywidzenie. Ze zmęczenia, niewyspania albo za dużej ilości wyżłopanej kawy. Ale ona siedziała. Spanikowałem. Pierwszy raz w życiu.

– Masz pełne gacie ze strachu?

– Tak. Przyzna pan, że niecodziennie trupy ożywają.

– Historia jak z horroru.

– Niskobudżetowego – Michał otarł twarz rękawem fartucha.

W nocy grube ramy drgnęły. Po zalany m ciemnością mieszkaniu przeszedł szmer, jakby z wielokrotniony szept. Leżąca w szpitalu dziewczyna usiadła na łóżku, wyciągnęła ręce i przekrzywiła głowę. Potem zemdlna opadła na pościel.

Wszedł do biura inspektora, usiadł przy biurku, oparł łokcie na blacie i ukrył twarz w dłoniach. Wojciechowski zapalił papierosa i rozparł się w fotelu.

– Co jest?

Michał usiadł normalnie.

- Mogę zadać panu osobiste pytanie?
- Jasne, wal.
- Miał pan kiedyś ochotę rzucić to wszystko w cholere i dać sobie spokój?
- Mhm...
- I co? – chłopak przekrzywił głowę.
- Jajco. Mów od razu, o co chodzi.
- Może ja się do tego nie nadaję? – Michał wodził wzrokiem po swoich dłoniach. – Może minąłem się z powołaniem? Mam kupę obaw.
- Domyślam się, że z przewagą tej kupy.
- Myślałem, że zacnie pan wykład. Żeby nie rezygnował, bo zniweczę lata studiów, wkuwania. Myślałem, że powie pan coś w stylu „powinieneś przewidywać konsekwencje swoich wyborów oraz mieć w zanadru alternatywne zajęcie, którym możesz się zająć w momencie, kiedy zweryfikujesz swoje poglądy życiowe”.
- Sam to wymyśliłeś?
- Nie...
- Jacyś ludzie kiedyś coś ci mówili na temat życia, tego, co jest z nim związane, a ty teraz wzięłeś to wszystko razem i zgodnie z przewidywaniami wyszedł ci gówniany obraz.
- Coś w tym stylu.
- No to muszę cię rozczarować, bo nie będę prawil ci ojcowskich kazań. Nie będę się mądrzył na żaden temat. Ostatecznie, mógłbym walnąć formułkę w stylu, że bardzo sobie cenię twoją pracę i osobę, że jesteś inteligentnym oraz zdolnym młodym człowiekiem. Masz powołanie do zawodu patologa sądowego – dobrze. Nie masz powołania – też dobrze.
- Tak?
- Tak, a wiesz dlaczego?
- Domyślam się.
- Skoro się domyślasz, to również dobrze. Ale powiem to

otwarciem: nic na siłę. Jeżeli stracisz poczucie sensu wykonywanego zajęcia, to należy tego zajęcia zaniechać. Zasada prosta jak drut.

– Sensu nie straciłem... chyba.

– Jakbyś stracił, to byłbyś pewien.

– Jestem zmęczony.

– To widać. Weź kilka dni wolnego.

– Nie chcę.

– Szkoda, że nie jesteś funkcjonariuszem policji.

– Dlaczego?

– Wydałbym ci rozkaz urlopowego odpoczynku i po kłopotach – Wojciechowski zgasił papierosa. – A teraz wróć do pracy i zapomnij o głupotach.

Kiedy technik wyszedł, policjant od razu zapalił drugiego papierosa i spojrzał na własne, drżące dłonie.

– Cholera – stęknął. – To chyba ja zaczynam się sypać.

Deszcz padał coraz bardziej. Cały dzień i całą następną noc.

Następnego dnia rano Michał trzepnął dużą, białą kopertą o blat biurka inspektora Wojciechowskiego i cofnął się kilka kroków.

– Dziękuję, ale nie trzeba było się fatygować. Po odwaleniu raportów dla komendanta sam bym odebrał zdjęcia z laboratorium.

– Przy okazji niech pan od razu skrobnie awansem oświadczenie do gazet i telewizji, pewnie się dziennikarze zwalą, jak znam życie. I będzie cyrk! – chłopak był wyraźnie podekscytowany. – Taką mam sprawę, że głowa mała!

Inspektor odłożył długopis. Michał przysunął krzesło.

– Błady jesteś – funkcjonariusz zmarszczył czoło. – Ty w ogóle sypiasz?

– Nie! – warknął technik i wzruszył ramionami. – Szkoda czasu na sen.

– Rzeczywiście, szkoda – policjant sięgnął po kopertę. Przechylił ją, wysypał zawartość na blat. – Nie będę się bał w jakieś tam pitolenie, powiem staremu, żeby wysłał cię na przymusowy urlop pod groźbą kary administracyjnej, wysokiej grzywny lub nawet wylania z pracy... – spojrzał na fotografie. – Jakoś dużo tych fotek.

– Maszyna się zacięła. Laboranci nie mogli jej zatrzymać, musieli czekać, aż skończy. Z tym urlopem to niech pan mnie komendantem nie szczuje. Bo ja się nie boję.

– Czy ja mówię, że masz się bać? Raczej wypaść – nie odrywał wzroku od błyszczących kartoników. – Maszyna się zacięła? Bywa czasami.

– Oczywiście, bywa, złośliwość rzeczy martwych i podobne historie, ewentualnie zmęczenie materiału lub zwykła usterka techniczna.

– No właśnie.

– No właśnie. Niby wszystko okej. Tylko dziwne, że akurat maszyna zacięła się na jednym kadrze – Michał siedział blisko biurka policjanta. Ze sterty zdjęć wyciągnął jedno, podał Wojciechowskiemu.

– Rany boskie...

– Też tak zareagowałem, szefie.

Policjant odłożył fotografię. Zdjęcie przedstawiało ścianę otoczoną grubymi ramami. Fragment mieszkania Ewy.

– Wszystko ładnie, pięknie. Tylko, kiedy robiłem fotki, tego tam nie było – Michał puknął palcem w fotografię.

– No przecież wiem, że nie było.

Na zdjęciu grube ramy już nie otaczały pustej ściany, ale napis. Cztery wielkie litery, każda wykrzywiona w inną stronę, każda ociekająca krwią.

– Y... m... a... r... – Wojciechowski przeliterował wolno. – Ymar. A co to, do cholery, znaczy? I co to jest za dziwne pismo?

– Nie mam pojęcia.

– Dlaczego napis wyszedł dopiero na zdjęciach? Sztuczka jakaś?

– Nie mam pojęcia – powtórzył Michał. – Jaka sztuczka?

– Kiedyś robiło się numery z atramentem sympatycznym. Ale to stare dzieje. Obecnie robi się sztuczki z lampami fluorescencyjnymi... Widziałeś „Siedem”?

– Co?

– Film o psycholu szlachtującym grzeszników. W przypadku jednego zabójstwa policja znalazła wiadomość napisaną na ścianie. Pal sześć, że oprawca do jej napisania użył opuszków z odciętych palców ofiary czy całej dłoni, już nie pamiętam... Chodzi o to, że napis był widoczny dopiero przy takiej lampie. Bardzo popularny motyw.

– O ile pamiętam, to do zrobienia zdjęcia raczej nie użyłem aparatu przystosowanego do lampy fluorescencyjnej. Tylko zwykłego, z fleszem i na zwykły film. Kiedyś była mowa o cyfrówce, ale oczywiście skończyło się na gadaniu.

– Michał, a ty myślisz, że skąd ja wezmę pieniądze? Na bank napadnę? Komputery są nowe, powinieneś się cieszyć.

– Cieszę się, cieszę. Ale rozumie pan, musiałem spróbować.

– Rozumiem.

– Jak również napis nie jest wykonany specjalnym rodzajem farby – Michał wrócił do tematu. – Na pierwszy rzut oka wygląda jak krew. Prawdopodobnie ta sama co na reszcie ściany, podłodze i łóżku.

– Krew, której w momencie zrobienia zdjęcia nie było między ramami.

– Właśnie.

Policjant umilkł. Mocno marszczył czoło. Przygryzł dolną wargę i nie odrywał wzroku od fotografii.

– Ile tego jest?

– Siedemdziesiąt siedem sztuk, panie inspektorze. Reszta zdjęć w ilości odbitek, jaką zamawiałem – technik potarł czoło. – Po jednej.

– Szlag niech to jasny! – Wojciechowski wstał, podszedł do okna i zapalił papierosa.

– No właśnie.

– Ymar – powtórzył inspektor półgłosem. – Kurwa mać, sprawca to kolejny popieprzony miłośnik ciężkiej do odszyfrowania symboliki. Że też nie można takich ludzi od razu zastrzelić, zanim coś nabazgroła krwią na ścianie.

– To co robimy?

– Nic – odpowiedział przełożony. – Na razie gęba na kłódkę i czekamy na więcej konkretów, dopiero później będziesz mógł się oddać ich analizowaniu, poniesie cię fala teorii podpartej wynikami badań... co doprowadzi do ujęcia sprawcy, przekazania go w należny mu wymiar niesprawiedliwości. Na razie, dla wywołania zawału albo wylewu w wyniku niebotycznie podniesionego ciśnienia tętniczego, wypijemy sobie po kawie... – dodał inspektor w zamyśleniu. – Mam w dupie zalecenia lekarzy, że niby nie powinienem. Idziesz czy może jaśnie panu przynieść?

– Idę, tylko schowam te nieszczęsne zdjęcia, które pan raczył rozsytać.

„Find yourself a girl and settle down.

Live a simple life in a quiet town...”

Piosenka dobiegała z radia. Lekarka siedziała przy oknie i poruszała lekko głową w rytm muzyki. Mężczyzna kilka razy powtórzył refren:

„Find yourself a girl and settle down.

Live a simple life in a quiet town...”

– Żeby to było takie proste – powiedziała, patrząc na małe, czarne pudełko z anteną – to znajdowanie stabilizacji, dawno już bym miała domek na przedmieściach, gromadkę dzieci i wypatrywała męża, stojąc przy modelowo białym płotku... – uśmiechnęła się kwaśno. – A po latach doszła-



bym do kilku wniosków, między innymi, że nie było warto poświęcać się w imię miłości, rezygnować z pasji i przez to się nie realizować. Modelowy przykład frustracji, wrzodów żołądka i teorii o zmarnowanym życiu – westchnęła, podpierając brodę dłonią. – Ale przynajmniej dom i dzieci miałabym ładne... no i pewnie fajnego psa.

Wokalista zamilkł, po kilku taktach piosenka dobiegła końca. Spiker miłym głosem oznajmił godzinę szóstą czterdzieści pięć rano i zapowiedział kolejny utwór. Ze specjalną dedykacją dla pięknych słuchaczek, które właśnie przegoniły z powiek sen, ale jeszcze leżą w ciepłej pościeli i lubieżnie się przeciągają...

– No, nieźle, nieźle. Szkoda, że nie dodasz czegoś o tuleniu radiodbiornika do nagich piersi. To by zwiększyło słuchalność. Zresztą, ja zawsze cię słucham, a szczególnie, jak jestem całą noc w szpitalu. Ja, radio, kawa i aparatura do analiz biochemicznych. Moje życie towarzyskie, normalnie, kwitnie.

Kobieta rozejrzała się. Znała ten pokój aż za dobrze. Zresztą tak samo, jak znała szpital. Mimo że pracowała tutaj dopiero od roku, orientowała się we wszystkich możliwych zakamarkach i pomieszczeniach. Przyzwyczaiła się do różnego rodzaju pomysłów, przychodzących pacjentom do głów. Podczas rutynowych nocnych obchodów miała okazję kilkakrotnie odprowadzać żądnego mocnych wrażeń pacjenta, który chciał się przekonać, czy w podziemiach szpitala są tajne i oczywiście na głucho zamykane pomieszczenia, gdzie personel po godzinach wykonuje podejrzone operacje... Potem się okazało, że nocny uciekinier nie szukał wrażeń, tylko natchnienia, zszedł do piwnicy, żeby poczuć w wyobraźni dreszcz grozy.

– Pisarze. I ta ich wyobraźnia.

Dostała od tego chłopaka jego książkę z dedykacją. Ze wstydem przyznała w duchu, że odłożyła ją na półkę, nawet nie czytając. Nie miała czasu. Zasypiała na stojąco.

Copyright © Magdalena Maria Kałużyńska, 2010  
Copyright © FOX Publishing, 2010

Redakcja: *Romuald Pawlak*

Korekta: *Piotr Kubiński*

Ilustracja na okładce: *Dariusz Kocurek*

Redakcja techniczna: *Bartosz Kusibab*

Wydanie I, Rzeszów 2010

**ISBN 978-83-930452-0-4**

**Wydawca**

FOX Publishing Bartosz Kusibab  
ul. Boya Żeleńskiego 16/23, 35-105 Rzeszów  
tel. 17 715 81 94, faks: 17 783 40 96  
e-mail: [redakcja@foxpublishing.eu](mailto:redakcja@foxpublishing.eu)  
[www.foxpublishing.eu](http://www.foxpublishing.eu)

Druk i oprawa

Drukarnia Narodowa SA  
ul. Półnaki 18, 30-740 Kraków

– *Rany boskie!* – inspektor Aleksander Wojciechowski stanął w progu sypialni. –  
Co tu się musiało dziać!

– *Masakra, szefie [...]* Pierwszy raz coś takiego widzę.

Gdy inspektor Wojciechowski i jego asystent, Michał, znajdują w starej kamienicy zakrwawione ciało pięknej kobiety, nie podejrzewają nawet, w jak mroczną i skomplikowaną intrygę zostają wplątani. Intrygę, która – być może – ma swoje korzenie jeszcze w pradawnych i złowrogich siłach wymykających się ludzkiemu rozumowi... Czy bohaterowie poznają prawdę i... czy uchronią siebie i innych przed tajemniczym niebezpieczeństwem?

W precyzyjnie skonstruowanej fabule Kałużyńska płynnie i niepostrzeżenie przemieszcza się pomiędzy konwencjami literackimi: prowadzi czytelnika od thrillera policyjnego do horroru z pogranicza metafizyki. Niewątpliwie największą zaletą *Ymar* – oprócz posępnego, mrocznego nastroju powieści oraz odważnych zabiegów narracyjnych – są błyskotliwe, dynamiczne i bardzo wiarygodne dialogi. Dzięki nim i dzięki niebanalnym osobowościom bohaterów *Ymar* okazuje się fascynującą i wciągającą powieścią, która zaspokoi gusta wszystkich miłośników dreszczu emocji.

**Magdalena Maria Kałużyńska** – urodzona w 1972 roku w Warszawie. Znak zodiaku: Strzelec. Z zawodu jest specjalistką do spraw reklamy i marketingu. Obecnie mieszka na wsi. Miłośniczka prozy Stephen Kinga. Kolekcjonuje figurki smoków oraz filmy: kreskówki i horrory. Lubi tatuaże, dobermany, jamniki, jazdę samochodem. Ma słabość do kawy z mlekiem.

Choć pisze od zawsze, zaczęła publikować w 2005 roku. Zadebiutowała opowiadaniem *Alda* wydrukowanym na łamach „**Science Fiction Fantasy & Horror**”. Tam również ukazały się teksty *Żywy* – kontynuacja przygód Aldy, dziewczyny o nadprzyrodzonych zdolnościach – oraz *Katharsis* – pierwsza, najbardziej oniryczna z trzech części minipowieści *Indywidualna rzeczywistość*. Przez jakiś czas współpracowała z e-zinem „Fahrenheit”, w którym opublikowała opowiadanie *Wizyta Odwiecznie Sprawiedliwych* oraz kilka felietonów i tekstów satyrycznych.

merlin.pl

GILDIA.PL

POLTERGEIST  
POLTER.PL

granice.pl  
wortaliteracki

OFANT

www.valkiria.net



www.ARENAHORROR.PL  
JESTEM W SIECI

